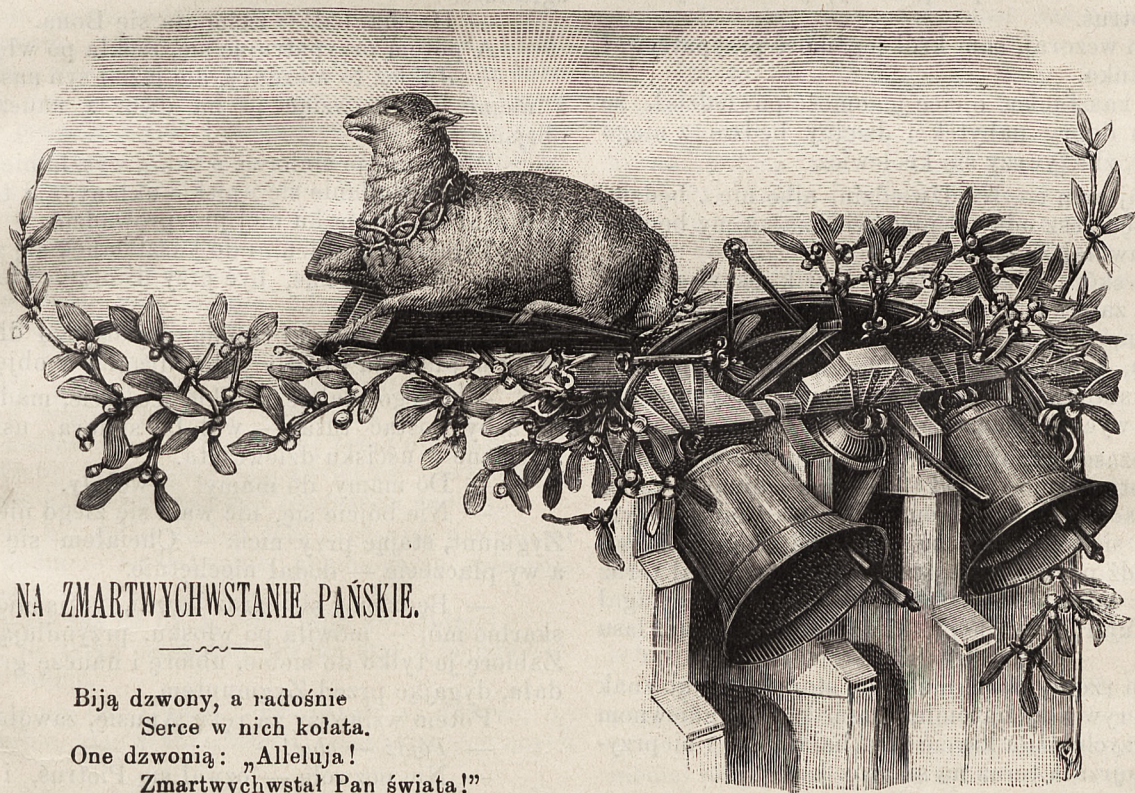




WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



NA ZMARTWYCHWSTANIE PAŃSKIE.

Biją dzwony, a radośnie
Serce w nich kołata.
One dzwonią: „Alleluja!
Zmartwychwstał Pan świata!”

* * *

One dzwonią: — „Chodź, człowiecze,
Do świątyni Pana,
Uchyl czoła a wznies serce,
Padłszy na kolana.

* * *

Złóż swe troski, złóż swe żale
U Bożego tronu,
Nie zagłuszaj jękiem serca
Radosnego dzwonu.

* * *

Nie zasypiaj smutkiem duszy
Dnia tak wesołego,
I otuchę i nadzieję
Wpuść do serca swego.

* * *

Bo czyż nie wiesz, że na ziemi
Zawsze tak się plecie:
Płacz ze śmiechem, ból z weselem
I z cierniami kwiecie.

* * *

Że twój pobyt na tym świecie
Przelotny i krótki,
Że nietrwale ani wieczne
Radości i smutki.

* * *

Więc się nie martw, dobry człeczko
Dzwon dzisiaj wydzwania,
Że nadejdzie i dla ciebie
Chwila zmartwychwstania.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

— Na naszym zamku strzelcy podobnie się ubierają — zrobiła uwagę Jadwisia.

— Bo ja jestem zaliczony do strzelców jego królewiczowskiej mości.

— Nie lubię takiego ubrania — rzekła Anusia, wydawszy z grymasem usta.

— Cicho, nie można tak mówić — szepnął Kazik.

— Czemu?

— Na dworze, chociaż się komu co niepodoba, nie można zganić — pouczał Kazik.

— Dziwny obyczaj! — wtrąciła Jadwisia.

Antosia zaś wzruszyła ramionami i smutnym wzrokiem przypatrywała się Kazikowi.

— A kasztanek zdrów po podróży, jeździłeś już na nim? — spytał Piotruś.

— Jeździłem wczoraj, sam król jegomość przypatrywał się i chwalił kasztanka.

— Nietylko kasztanka, ojciec jegomość powiedział, że z Niedźwiedzia to dobry nabytek i dzielny będzie z niego żołnierz — wtrącił, zbliżywszy się królewicz.

— Ale zagraj nam co, Niedźwiedziu, albo nie... będziemy się bawili, ty będziesz udawał niedźwiedzia, a my będziemy cię gonili — zawołał Zygmunt.

Przyniesiono skórę niedźwiedzia. Kazik okrył się nią, lecz nie szła jakoś zabawa. Nawet ruchy Kazika skrępowane obcisłym odzieniem, nie były tak swobodne; mimo to królewicz biegał za nim, pociągając za sobą Anusię i Jadwisę, a pan Opałiński, stanawszy w rogu komnaty, przypatrywał się zabawie swego wychowanka.

Siniora tymczasem spojrzawszy niechętnie, wymknęła się, a po chwili otworzono drzwi i królowa jejmość we własnej swojej osobie, z gniewnem obliczem i zaiskrzonym wzrokiem ukazała się we drzwiach. Właśnie skończono polowanie, niedźwiedź pochwycony przez królewicza stał teraz pokornie, udawał łagodne mruczenie, któremu dopomagał wygrywaniem na fujarce jakiejs pieśni naśladującej szum lasu i prośbę błagalną.

Bona lubiąca rzeczywiście muzykę, stanęła, dając znak by pieśni nie przerywano; natomiast tem samem gniewnem okiem, którem przychodziła karci zbył hałaśliwą i nieprzystoijną zabawę, spojrzała teraz na siniorę.

Alenini, widząc łagodny nastrój swej pani dla bawiących się, zrobiła skruszoną minę, a oczkie jej maleńkie spoglądały tylko, czy ręka królowej zamiast na oskarżonych, nie spadnie na nią w swym gniewie.

Lecz Bona słuchała spokojnie pieśni, a gdy Kazik skończył, rzekła do syna:

— Każesz sobie grać, a gdy ja każę, to mówisz, że nie lubisz muzyki.

— Bo to inna muzyka...

Bona odepchnęła go od siebie i patrząc na Kazika spytała:

— Kto cię tak grać nauczył?

— Tak mi jakoś rozmaite pieśni same z siebie przycho-
dzą — rzek Kazik z głębokim ukłonem.

— Nikt cię nie uczył?

— Uczył mię trochę kapelmistrz zakroczymskiego zamku, ale na trąbce — odrzekł chłopiec, powtarzając ukłon.

Lecz Bona nie patrzyła już na niego, tylko wskazując na stojących w kącie, Piotrusia i jego siostry, zapytała:

— Co za jedni?

— Dzieci kasztelana zakroczymskiego, które z rozkazu najjaśniejszej pani przyprowadziłem z kościoła — odparł Opałiński.

— To Piotruś, a to jego siostry Jadwisia i Anusia, u których tak się dobrze bawiłem — mówił królewicz wesóło.

Jednocześnie siniora widząc, że królowa nie zwraca nań uwagi, poczęła coś prędko szeptać po włosku, lecz Bona spojrzawszy nań niechętnie, krzyknęła:

— Taci! (Milcz!)

Siniora wtuliła głowę w ramiona i przybrała znów minę pokorną, a królowa łagodząc głos i spojrzenie, rzekła do patrzących na nią z pewnym przestachem dzieci:

— Zbliźcie się tutaj!

— Pójdźcie, pójdźcie, to moja mama — zachęcał Zygmunt.

Lecz dziewczynki stały przytulone do siebie, a Piotruś schował się za Kazika i z pod oka ponuro spoglądał.

— Trzeba pójść, koniecznie, nisko się uklonąć — mówił ochmistrz swym przekonywającym głosem.

I lekko posunął je na środek komnaty.

Dziewczynki miały wielką ochotę rozplakać się i uciec, lecz taki je strach przejął, że nawet i płakać się lękały, słyszały tylko wyrazy ochmistrza „uklonić się” i prawie bezwiednie obie razem trzymając się za ręce, dygnęły bardzo niezgrabnie.

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się Bona.

A potem przypatrując się, rzekła po włosku:

— Jakież to niezdary, ale jeżeli syn nasz ma ochotę się z niemi bawić, wziąć je na dwór i nauczyć właściwego obejścia,

Wskazała je siniorze, a sama wyszła nie zwracając uwagi na jej przymilanie się i niskie ukłony, ani też na syna, który chciał Piotrusia ku niej przyprowadzić.

Tymczasem Alenini do kasztelanek się zbliżyła:

— Zostać u nas, być przy dworze, wielki honor, nauczyć będę kłaniać.

Lecz dziewczynki tłumiąc łzy bardzo długo, wybuchnęły teraz płaczem i padły jedna drugiej w objęcia.

— Czego płakać, wielkie szczęście, madre regina kazała żeby zostać tutaj — wołała siniora, usiłując rozerwać splecione w uścisku dziewczęta.

— Do mamy, do mamy! — wołały.

— Nie bójcie się, nie wam się złego nie stanie — rzekł Zygmunt, stając przy nich. — Chciałem się z wami bawić, a wy płaczecie — dodał niechętnie.

— Będziemy się zaraz bawili, najjaśniejszy królewiczu, skarbie mój — mówiła po włosku, przymilając się siniora. — Zabiorę je tylko do siebie, ubiorę i nauczę grzeczności — dodała, dygając przed Zygmuntem.

Potem wzięwszy za rękę Anusię, zawołała:

— Pójdź — obie!

— Nie pozwolę — ozwał się Piotruś, i stanął przy siostrach z miną obrońcy.

— Kazik, odprowadzisz ich do mieszkania rodziców — przerwał ochmistrz, wskazując na zapłakane dziewczynki i stojącego z rozniewanym wzrokiem Piotrusia.

— Jakto, nie będziemy się już bawili? — zapytał Zygmunt.

— Pójdziemy się uczyć — rzekł — dobitnie pan Opałiński.

— Uczyć? ach, z tą nauką! — sarknął królewicz.

Lecz ochmistrz zbliżył się i zaczął mu coś pociechu przekładać. Zygmunt z początku słuchał niechętnie z nachmurzonym licem, kilka razy nawet podniósł dumnie głowę i chciał coś mówić, mitygowany jednak przez Opałińskiego, uspakajał się powoli i zaczął skłaniać do jego woli.

Tymczasem siniora usłyszawszy, że dziewczynki mają odejść do domu, cała zaperzona wołała:

— Nie pójdą, królowa kazała zostać, to zostać, ochmistrz kazać inaczej, brzydko! pan ochmistrz odpowiadać przed najjaśniejszą panią, królową madre! Ten chłopak głupi, ja go ukarać! — dodała wytrząsając ręką Piotrusiowi.

Wtem królewicz przekonany wymową ochmistrza, czy też oburzony krzykiem siniory, przystąpił i gniewnie zawołał:
— Prosiłem, żeby moich przyjaciół nie znieważać, do moich dworzan się nie wtrącać.

Siniora ukloniła się wprawdzie bardzo grzecznie, lecz jednocześnie dość ostro krzyknęła:

— Opowiem królowej madre! powiem wszystko, powiem.

I spojrzawszy gniewnym wzrokiem na Opalińskiego, wybiegła szybko z komnaty, naśladowując ruchy królowej, co zawsze czyniła, gdy ta była nieobecna.

Zygmunt zaś nie zwracając uwagi na krzyk i odgrazanie się siniory, przystąpił do kasztelanek i rzekł:

— No, wołają mnie do nauki, idźcie więc do domu!

I pocałował każdą bardzo serdecznie. A potem zwrócił się do pokojowca i zawołał z miną dorosłego człowieka:

— Powiedz najjaśniejszej pani, że to ja kazałem im odejść.

I odwróciwszy się, zapytał:

— A ty Piotrusiu, czy także się uczysz?

— A jakże, uczę się i wkrótce pewnie pójdę do szkół tak jak i moi bracia.

— Dosyć już, dosyć gawędy — przynaglał ochmistrz.

— Ale przyjdźcie do mnie? — zwrócił się jeszcze Zygmunt.

Kasztelanek nie mówiąc, dygnęły tylko.

— Ale prawda, wkrótce mają mnie koronować, to będzie bardzo nudno, chociaż mama powiedziała, że w dzień koronacji przyjdzie dużo dzieci... I wy przyjdziecie i Marcinek i Jędrus, wtedy pozwolą wyjść i moim siostrze! Bo ja mam siostry: Izabelę, ta już dużo starsza odemnie, ale Kasia doskonale się umie bawić, a Zosia i Anusia, to jeszcze malutkie.

— Jego królewiczowska mość zapowina, żeśmy mieli pójść do nauki — przerwał ochmistrz surowo i wskazał drzwi, prowadzące do drugiej komnaty.

Zygmunt poszedł, lecz jeszcze odedrzwiał odwrócił się i ręką skinął ku swoim gościom, a jednocześnie Kazik, zabrawszy kasztelanek i Piotrusia, spiesząc z nimi uchodził. Przez kilka dni bowiem pobytu na królewskim dworze, obznajmił się już nieco z wielu rzeczami, nasłuchiwał się też, iż gdy królowa raz co postanowi, nie można się temu opierać, obawiał się więc, ażeby ich z drogi nie zwrócono i przelekkim dziewczynkom nie kazano zostać pod rozkazami siniory.

— Królowa kazała im zostać, lecz królewicz powiedział żeby poszły do domu — myślał sobie, przebiegając spiesząc długie korytarze.

Znalazszy się zaś na ulicy, odetchnął swobodniej.

— Niech je tylko odstawię, to już stryjo będzie wiedział, jak sobie radzić.

— Och, ale nie chciałbym, żeby zostały na dworze, oj, nie! — myślał sobie, idąc szybko wśród tłumów zalegających ulice stolicy.

A dziewczynki trzymając się za ręce, biegły szybko w milczeniu, nie rozpytując się o nic i nie przypatrując miastu. Pragnęły tylko również jako i Piotrus jak najprędzej dostać się do domu i strach swój ukoić na łonie matki, która ich też z utęsknieniem i pewnym niepokojem oczekiwała.

IY.

Zebrani na zamku przedniejsi panowie duchowni i świeccy, naradzali się nad sprawami towarzyszącymi całej koronacji. Oprócz wielu spraw ważnych, zajmowało ich i to, jakie nadać imię nowo-wstępującemu.

— Zygmunt ojciec, Zygmunt syn, to bardzo przewlekła nazwa, takie jednobrzmiące miano, wielu pomyłek może być przyczyną — mówił, namyślając się hetman Tarnowski.

— Więc Zygmunt drugi, boć ojciec nosi miano pierwszego — ozwał się Krzycki, biskup płocki.

(d. c. n.)

Tajemnicze kwiaty.

Niedawno muzeum starożytności egipskich w Kairze otrzymało do swoich zbiorów najstarożytniejszy chyba zielnik na kuli ziemskiej. Jest to oryginalny zbiór roślin odwiecznych, znalezionych w grobowcach i mauzoleach mumii królewskich i książęcych. Niektóre z tych roślin są doskonale zachowane, niektóre zaś pod wpływem kilku kropel ciepłej wody odzyskują miękkość i zabarwienie kwiatów żywych. Prawie wszystkie okazy, umieszczone w zielniku, pochodzą z czwartego wieku przed Nar. Chr. Są to przeważnie lotory białe i niebieskie, maki czerwone, ślasy wschodnie, jastruny, krokosze, liście wierzbowe, kwiaty mięty i róże.

Jak się rzekło, niektóre z nich pod wpływem wilgoci przybierają dawne barwy i dawną miękkość listków i łodyg. Pomiędzy temi „kwiatami, które zmartwychwstają” odznacza się kwiat, znaleziony w r. 1848-ym przez uczonego naturalistę Decka.

Kwiat ten ma swoją historię. Niepodobna oznaczyć, do jakiej rodziny należy, gdyż roślina ta nie ma rodziny, ani swojej kolebki. Jest jedynym, wyjątkowym okazem w świecie i nauce. Mówiąc o tej roślinie nadzwyczajnej, trzeba wspomnieć o botanice, natomiast zaś wznieść się myślą do legend i podań Wschodu.

Około roku 1848-go dr. Deck, badając Egipt Górny, p. zebiegał pustynię w celu odnalezienia bogatych kopalni szmaragdów, znanych w starożytności. W czasie poszukiwań uczony ten spotkał Araba, któremu ocalił życie. Arab był biedny, jak święty turecki, ale jako honorarium za leczenie oddał doktorowi skarb swój, maleńką roślinkę, pomietą, suchą, znaną na skraju pustyni w grobowcu, jednej z kapłanek egipskich. Jak zapewniał Arab, roślina ta miała własności nadzwyczajne.

Patrząc na roślinę, która na wyschłej łodydze miała za całą ozdobę dwa suche listki, spalone przez słońce i pożółkłe od czasu, Deck nie mógł powstrzymać się od śmiechu z przechwałek Araba. Dotknięty do żywego niedowierzaniem, syn pustyni schwył naczynek z wodą, podlał roślinę i oto cud niby stał się przed oczyma zdumionego doktora; wydawało się, że kwiat zdrzął, poruszył listkami, łodyga wyprostowała się, nabrzimiała i rozłożyły płatki drobnutkie około punktu środkowego. Potem, po kilku sekundach tego zdumiewającego odżywiania, kwiat zdawał się schnąć na nowo, łodyga zgięła się i pożółkła, płatki i listki skurczyły się, pomarszczyły i zaschły. Roślina wpadała w letarg.

Dr. Deck przywiózł roślinkę do Europy i setki razy powtarzał próbę, z powodzeniem. Umierając, uczony lekarz powierzył roślinę koledze swemu, Lamesowi, który codziennie niemal przy pomocy kilku kropel wody przywracał ją na kilka chwil do życia. Uczony Humboldt bawił się tą rośliną jak dzieckiem, i wielokrotnie czynił z nią doświadczenia. Po każdej próbie uczony utyskiwał nad tem, że nie może zbadać tej osobliwości i mawiał z zachwytem: „Nie masz w przyrodzie nic bardziej niezwykłego nad tę roślinę.”

I dotychczas nikt nie zbadał tej roślinki, która odżywa otwierając kielich i zdaje się mówić:

— Ot, jaką byłą za czasów Faraonów!...

W Egipcie również znaleziono w jakimś grobowcu róże, które uważane są za najstarożytniejsze okazy świata roślinnego. Były to kwiaty, złożone w grobowcu przed dwoma tysiącami lat. Crépin, dyrektor ogrodu botanicznego w Brukseli, poznał w tych różach sędziwych gatunek *rosa sancta*, znajdujący w ostatnich latach w Abisynii, gdzie hodowany jest bardzo obficie około grobów chrześcijańskich.



Kartka z dzienniczka księżniczki Elżuni, przypadkiem znaleziona.

Dnia 10 Kwietnia roku P. 1768.

„Ot i święta nadchodzą, moc dobrych wspomnień zostawia w sercu i głowie. Trudno zamilczeć o doznanych wrażeniach, biore pióro do ręki i unieśmiertelnie je w swoim dzienniczku... W sobotę przed wielkim tygodniem wstałyśmy wcześniej o godzinę całą, niż zwykle, o szóstej zatem. Madame powiedziała, że dłuższy pacierz odmówimy, jakoteż całą godzinę modliłyśmy się. O ósmej pokojówka Basia przyniosła nam codzienny nasz żurek postny, następnie zasiadłyśmy do pracy: ja uczyłam się wokabul francuskich, Marynia grała ćwiczenia na klawicymbale, a Madame szepecząc na różańcu pacierze, z pod oka zerkając na nas, bacząc czy pilnie uczymy się, bo zdarzało się nieraz, że udając zajęcie pracą, figle płątałyśmy, lecz trudno w powadze cały dzień się utrzymać; mam lat dopiero piętnaście, przecie, a siostra moja Marynia o rok jest jeszcze młodszą. Tym razem wszakże Madame nie miała powodu do zmarszczenia czoła i wyrzeczenia zwykłej w takim razie groźby:

„Madame la princesse le saura!”

W tem otwarły się drzwi i weszła do naszego pokoju Zosieńka Liwska, panna respektowa.

— Księżna pani prosi do siebie, — oznajmiła.

Porwałyśmy się ze stołków zmieszane i Madame się zakłopotowała, bo to zwyczajem było u państwa, iż zjawiałyśmy się dopiero o dwunastej w jadalni, więc w negliżu byłyśmy jeszcze.

— Za półgodziny księżniczki będą ubrane — rzekła Madame do Zosieńki, w tej chwili przywołam fryzjerkę.

— Księżna pani kazała oznajmić, aby księżniczki gładko dziś włosy zaczesaly i ciemne suknie wzięły na siebie, — rzekła Zosieńka, poczem oddaliła się spiesźnie.

Zrzuciłyśmy przeto błękitne nasze szlafroczyki flanelowe, włożyłyśmy ciemne suknie i zeszłyśmy na dół. Zstałyśmy oboje państwa w małym saloniku, a z nimi ksiądz Żeromski, który częstym bywał u nas gościem. Dygnawszy nisko i zgrabnie, jak pannom dobrze wychowanym przystało, siadłyśmy na brzeźku krzesel pod ścianą, naprzeciw rodziców, dokąd poprowadziła nas madame i oczy spuściwszy w ziemię, spłótszy ręce, czekałyśmy, czy które z państwa, nie raczy do nas przemówić, ale oboje nie zwracali na nas uwagi. Księdzem Żeromskim byli zajęci; opowiadał im, że proszony jest do króla na uroczystość umywania nóg w Wielki czwartek; miałam wielką ochotę zapytać go, kto w zan...

starcom umywać będzie nogi, ale nie śmiałam, po chwili ksiądz Żeromski przerwał opowiadanie, powstał i rzekł:

— Czas naukę rozpocząć.

— I chrząknawszy, zwrócił się do nas, i opowiadać nam począł o męce Chrystusa Pana. Nie był to przedmiot nowy, zaiste, ale mówił tak pięknie, tak wzruszająco przedstawił poświęcenie się dla nas Pana Jezusa, Jego pokorę i męstwo, dobroć i świętość, że całą duszą słuchałam tego opowiadania i ani jedna pusta myśl nie przebiegła przez moją głowę, a jednak mówił całą godzinę...

Po skończonej nauce przeszliśmy do jadalni, gdzie służba podała obiad. Państwo zaprosili księdza Żeromskiego, pozostał chętnie; mleko, jaja, ryby na oleju smażone, składały obiad, podczas którego księżna pani oznajmiła nam, iż za wstawieniem się księdza Żeromskiego panny Kanoniczki pozwolą nam wziąć udział w rekolekcyach, które się zaczęły u nich od jutra, przeto poleciła nam, żebyśmy resztę dnia na pożytecznych czytaniach spędziły, a nazajutrz o ósmej rano zeszły na dół czarno przybrane, jako, iż z nią razem pójdziemy do Kanoniczek i przygotujemy się do spowiedzi, do której w wielką Srodę przystąpimy.

Lubo czekało mnie kilka dni okrutnie poważnych, jednakże rada byłam z zaszczytu, jaki nas spotkał; nigdy bowiem jeszcze nie odbywałyśmy spowiedzi razem z księżną panią i nie jeździłyśmy z nią w jednej karocy. To też nazajutrz już o piątej zbudziłam Marynię. Basia przyniosła nam czarne powłóczyste suknie i czarne welony. Musiałam wargi zagryźć, by nie roześmiać się, gdym włożyła oną długą suknię i gdym spojrzała na równie poważnie przybraną Marynię; a z tym większą trudnością, przyszło mi pustotę moją poskromić, iż na policzkach siostrzyczki dostrzegłam dwa dołeczki, które u niej zawsze chęć do śmiechu zdradzały. Lecz surowe spojrzenie Madame przywiodło nas do upamiętania...

Niedziela, poniedziałek i wtorek upłynęły nam na ustawicznych modłach i medytacjach; od ósmej rano do południa spędzałyśmy czas w kościele pp. Kanoniczek, gdzie najprzód Mszy świętej słuchałyśmy, a potem ksiądz Żeromski i ksiądz Młodzianowski naprzemian przemawiali z amfony. W południe wracałyśmy do domu, na ściśle postny obiad bez masła, jaj i mleka, poczem do późnego wieczora w pokoju księżnej pani, klęcząc z nią razem przed krucyfiksem, wiszącym nad jej klęcznikiem, badałyśmy własne sumienie i wyznając, drżałam na myśl spowiedzi, gdyż codzień nowe grzechy prz...



Zmartwychwstanie Pańskie.

pominałam sobie. Zgroza mnie przejmowała nad samą sobą: ileż to pustych myśli przesunęło się przez moją głowę w kościele, oraz podczas modlitw porannych i wieczornych od ostatniej spowiedzi, ile słów złośliwych wybiegło z ust moich przez ten miesiąc, ile czasu zmarnowałam udając, że się uszę pilnie, a myśląc o figlach...

Nauki, jakich słuchałam codzień w kościele, ustawiczne modły, ścisły post i cały nastrój domu wszystko to razem usposabiało mnie coraz poważniej. Tę w całym domu zwierciadła krepą były zasłonięte, oba klawicymbały na kluczyki zamknięte, nikt piosenek nie nucił, nikt nie śmiał się, nie rozmawiał nawet głośno; z pokoju służby dochodziły tylko jęklwym głosem nucone „gorzkie żale”, a w pokojach państwa szeptały się rozchodząc.

Zbliżyła się wreszcie Wielka Środa. Błada i drżąca przystąpiłam do konfesyonału, lecz dobry ksiądz Żeromski nie był zbyt surowy i do S-tej Komunii pozwolił przystąpić. Czy jednakże nie sądził mnie za łagodnie? Takich pustych głów, takich roztrzępionych jak ja, takich złośliwych psotników chyba niewiele... Madame nosi perukę; raz w nocy schowałam jej onę sztuczną koafiurę za to, że skarżyła się na nas przed księżną panią i klęczeć musiałybyśmy godzinę całą. Nazajutrz z łysą głową biegała po pokoju, szukając zguby, a myśmy w duszy się śmiały; godzinę całą pozwoliłam jej szukać, a potem podrzuciłam perukę pod stół i Madame pewną była, że sama tam spadła.

Serdecznie płakałam przy spowiedzi nad swoją złością: wością i gorąco prosiłam Boga, aby mnie wsparł w dobrych postanowieniach, poważną i złą białogłową chcę bowiem zostać.

Wróciwszy do domu po spowiedzi zatopiłam się w czytaniu kazań księdza Skargi.

Teresa Jadwiga.

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

Na trzeci dzień po pogrzebie zamknął izbę i poszedł do pani Warbickiej. Wiedział, że go lubiła naprawdę, że zawsze była dobra dla jego ojca i chciał się z nią poradzić i zapytać jej, co miał z sobą robić. Spłakali się oboje, mówiąc o Marcinie, o którego śmierci pani Warbicka nic nie wiedziała dotąd, potem starszka objęła Józka za szyję i przycisnęła jego głowę do piersi, podczas kiedy Bosy widząc zapłakane twarze, począł skomleć żałośnie.

— Obojeśmy sieroty bez krewnych, bez przyjaciół — rzekła pani Warbicka — to już przynajmniej trzymajmy się razem. Przenieś się do mnie tymczasem. Potem może będziesz chodził uczyć się jakiego rzemiosła, ale póki co nie obmyślimy, możesz tu u mnie mieszkać. Pokój jest zimny w zimie, a gorący w lecie, ale dosyć duży, że i na ciebie znajdziesz się miejsce. Będziesz za mnie chodził po schodach, posłuszysz mi czasem, a za to będziesz miał darmo mieszkanie i jedzenie, choć bardzo ubogie. Jeżeli zechcesz, nauczę cię czytać, pisać i rachować, to ci się przyda w życiu.

— Tatuś zawsze mówił, że mi się trza uczyć na książce — odparł Józik — mam straszną chęć do książki.

— Więc będziemy razem mieszkać — rzekła pani Warbicka, całując Józika w czoło. Mam tu na strychu składzik, w którym się pomieszczą twoje rzeczy. Przenieś tu to, co będziesz mógł sam przenieść, resztę sprzedaj. Łóżka nie potrzebujesz, bo możesz sypiać na sofce. Bosy kłaść się na

niej lubi i już mu na to pozwalałam, ale jak mu wypchasz sienniczek sianem, to się od sypiania na sofce odzwyczai.

— Jaka pani dobra! — zawołał Józik wzruszony.

— Nie na rozkosze ja cię tu biorę do siebie — odpowiedziała starszka. — I chłodno tu u mnie bywa i głodno! Bieda coraz gorsza w oczy mi zagłada i starość codzień bardziej mię przygniata. A tu śmierci jak nie widać tak nie widać, choć o nią Pana Boga rano i wieczór proszę.

— Oj, śmierć taka straszna! — zawołał Józik i płakać zaczął, bo mu się przypomniał ojciec kochany.

— Dla tych co mogą pracować, to straszna, ale dla takich niedołęgów jak ja, to dobrodziejstwo! Widzisz, moje dziecko, ja tylko czekam takiej chwili, w której już z łóżka się nie ruszę, a wtedy co ja nieszczęśliwa pocznę? No idź Józiku, znoś rzeczy swoje i co będzie, to będzie! A weź z sobą Bosego, niech się przebiegnie, to może za kotami tak uganiać nie będzie.

Bosy usłyszał, że o nim mówiono i patrzył w oczy swej pani, kręcąc ogonem. Potem uciszył się, gdy go Józik zawołał, bo lubił bardzo spacerować, tylko nie samotnie, ale zawsze w towarzystwie znajomych ludzi. Skakał na ulicy w okół Józika i wybiegał naprzód, a potem nagle się oglądał i zwracał, jakby się bał jakiego wypadku, któryby go mógł spotkać. Patrzył przytem w oczy Józika domyślnie i mądrze, jakby chciał zapytać, gdzie tak szli we dwóch, zostawiając starą panią samą.

Józik wziął z mieszkania swego tyle gratów, ile ich mógł udźwignąć, zaś Bosemu dał do niesienia niezbyt ciężki koszyk, w który nakładł bielizny. Bosy szedł teraz poważnie koło niego z kabłąkiem koszyka w pysku, bo czuł ciężący na sobie obowiązek, który chciał spełnić uczciwie. Ale przechodząc koło bramy jednego domu, spojrzął w podwórze i naraz zapomniał o obowiązku i uczciwości. Zobaczył dużego burego, ze świecą sierścią kota, który sobie powoli, cicho i poważnie spacerował w słońcu. Koszyk upadł na ziemię a Bosy rzucił się nagle w bramę szczerząc i ujadając tak, jak ujadają psy goniące za zającem. Dziadek jego był gończym psem w służbie u męża pani Warbickiej i Bosemu, który miewał zachcianki myśliwskie zawsze się zdawało, że może sobie polować po Warszawie. Józik, obciążony ciężarem, został na ulicy z przewróconym u nóg swoich koszykiem.

Nagle usłyszał ogromną wrzawę na podwórzu kamienicy, obok której się znajdował. Szczekaniu zajądłemu psa odpowiedziało wymyślanie, rozpaczliwe miauknięcie kota, a potem krzyk i łajania, kobiecym wypowiedziane głosem. Józik usłyszał wykrzyknik:

— A cóż to, niema już czyścicieli w Warszawie, że psy cudze włóczą się po domach! Wicek, daj no tu jakiego kija! a potrąć tego włóczęgę! Wydarł całkiem z boku szerść Mińci! Biedna Mińcia! Mińcia! Minieczka! Biedna kotezka!

Józik zrozumiał, że nie miał nic do czynienia przed tym domem, i że krzycząca kobieta możeby kij, którym chciała potrącić Bosego, obrócić przeciwko chłopcu, któremu pies towarzyszył. Trzeba było poprostu zmykać, bo obrona Bosego na nicby się nie zdała. Józik wziął koszyk i stanął o kilkanaście kroków dalej w bocznej ulicy. Hałas jakiejś bieżaniny, głosy kobiece, skargi uderzonego psa, doszły do jego uszu i Józik szczerze uczuł się zmartwiony myślą o możliwym kalectwie Bosego, gdy sprawca całego tego zajścia, Bosy, ukazał się na zakręcie. Choć oberwał dobry poczęstunek od stróżowej, która była uzbrojona w miotłę, choć Wicek, syn tej kobiety posmarował go kijem gdy już Bosy zmykał, zmierzając z podwórza ku bramie, pies był widocznie kontent. Oczy błyszczały mu zwycięstwem i wyobrażał sobie zapewne, że dokonał wielkiego czynu, obskubawszy spokojnego i wypieszczanego kota. Dogadując swojej nienawiści do kociego rodu, zapomniał o obowiązku, o uczciwości i koszyku. Dopiero gdy go zobaczył w ręku Józika, zawstydził się bardzo, spuścił ogon, głowę zwiesił i począł się łasić pokornie u nóg Józika.

— A brzydki pies, niepocziwy pies — mówił Józik — już nigdy psa na spacer nie wezmę!

Udawał bardzo srogiego, a Bosa patrzył jak winowajca i chciał go wzrokiem prześladować.

— No, masz koszyk — rzekł wreszcie Józik, kładąc Bosemu kabłąk koszyka do pyska — przebaczam ci, ale pamiętaj, że to raz ostatni!

— Bardzo być może, że Bosa to samo sobie przyrzekał, bo jeszcze czuł ból w nodze od uderzenia miotły i silniejszy, nawet bardzo silny w udzie, od uderzenia kijem. Czuł też dobrze, że zawiódł zaufanie Józika. W pierwszej chwili upojony walką i zwycięstwem zapomniał o bólu i o razach, ale teraz wyglądał bardzo potulnie, cierpiał i wstydził się widocznie.

Powoli przenieśli z Józikiem wszystkie graty. Pies zasługiwał na pochwałę, ale, co prawda, nie był narażony na pokuszenie. Choć rzucił wzrokiem we wszystkie bramy, około których przechodził, i wietrzył czasem, bo mu się zdawało, że czuł kota w pobliżu, jednak nie upatrzył żadnego i dobra wola jego nie została wystawiona na próbę.

Łóżko, stolik, krzesło, ławkę, garnki kupiła Piotrowa, ale nie miała pieniędzy, więc obiecała zapłacić, gdy będzie miała. Ale nie myślała skrzywdzić Józika i wszystko oceniła po Bożemu. Przy przenoszeniu rzeczy, zapodziały się gdzieś Józikowi: kłódka od skrzynki, grzebień, fajka Marcina, stare nożyczki, dwie łyżki, pasek skórzany, rądelek blaszany, książka od nabożeństwa i szelki. To wszystko ściągnął Walek i schował w jakiejś kryjówce, mówiąc sam do siebie:

— O, wielka rzecz, żem trochę miodu z ula podebrał! Józik idzie do pani, u której mu tylko ptasiego mleka brakować będzie. Co mu tam po tych rupieciach starych? A ja to hadlarzowi sprzedam i będę miał na piórnik albo na papierosy! Muszę ja tam czasem zalatywać do tej pani, co Józika zabrała. Może i mnie kiedy choć szklanką herbaty poczęstuje!

I zaraz nazajutrz zjawił się u pani Warbickiej. Nigdy człowiekowi śmiało w oczy nie spoglądał, więc się przywitał jakoś nie szczerze i pod pozorem zabawy z Bosym, począł myszkować po pokoju. Józikowi było nieprzyjemnie, że ten niepocziwy chłopiec wkręcił się do staruszki, ale mu jakoś nie śmiało nic powiedzieć. Walek skinął na niego żeby z nim wyszedł na ulicę. Gdy się znaleźli na dziedzińcu, a Walek obejrawszy się i upewniwszy, że nikt ich słyszeć nie może, ozwał się do Józika:

— Słuchaj-no ty, ta stara musi mieć pieniądze! Już ja nieraz o takich starych słyszałem, co to niby z biedy wynoszą się na strych, a w sienniku, albo w jakim odzieniu, mają zaszyte sporo grosza.

— A dajże mi pokój! — ofuknął Józik — cóż mi tam do jej pieniędzy! Ma, to swoje! Tatusz mówił, że ona całkiem zbiedniała!

— Może się tak tylko przytuliła! Ty tam dobrze wszystko wywąchaj i mnie powiedz, a nie pożałujesz tego! Co tam babie po pieniądzach? Przed młodym to cały świat otwarty a przed starym tylko grób!

Józik na dobre się rozgniewał.

— Idź ty sobie! A jak jeszcze raz mi takie rzeczy gadać zaczniesz, to powiem pani Warbickiej!

— No, no, nie gniewaj się Józik! Przecie ja tylko twego dobra chcę i niczego więcej, bo cię okrutnie kocham. My jesteśmy jak bracia, Józik, prawda?

— Tylko, że z ciebie okrutne ładaco, Walek!

— Co mam być ładaco? Mnie tylko o to chodzi, żeby tobie było dobrze na świecie!

Józik westchnął. Było mu źle na świecie. Ogromnie mu wciąż żal było ojca i choć były takie chwile w których zapominał o swoim sieroctwie, zwyczajnie jak dziecko, to go zaraz potem żal chwytł taki, że mu się zdawało, że mu się coś w piersiach rozdziera. Wieczorem, gdy do snu zamykał oczy, straszny widok przedstawiał mu się zaraz. Widział zabitego ojca i myślał z rozpaczą, że już go nigdy nie zobaczy.

Pani Warbicka zaczęła go uczyć czytać i Józik pojmował tak łatwo, że staruszce aż się oczy śmiały. Miała wielką przyjemność z tej nauki. Siedziała zgarbiona w fotelu, a Józik u jej nóg na małym stołeczku uczył się liter i zaraz je składał. Już we trzy dni taką sobie wymyślił rozrywkę, że na tabliczce pisał sobie kredą łatwiejsze wyrazy i pokazywał z nieśmiałością a zarazem z rozkoszą pani Warbickiej, która albo mówiła: „dobrze”, albo poprawiała co było źle napisane. Najpierwsze dwa wyrazy, co Józik napisał, to były: „koza” i „kura” a potem pisał: „kot, kuma, oko...” a tak się w sobie radował pisząc, jakby mu się co najlepszego przytrafiło. Przytem myślał:

— Oj, co też to dla człowieka za przyjemność, pomyśleć sobie coś w głowie i zaraz to samo na papierze napisać!

Tak się zapalił do tego pisania, że pani Warbicka musiała na niego wołać.

— No Józik, dosyć tego! Idź-no po chleb. Masz tu pieniądze na dwa funty chleba.

Józik biegł po wschodach jak strzała, potem równie prędko do piekarni a myślał:

— Jakżeby to napisać „chleb”? Oj, żeby to prędzej się tego wszystkiego nauczyć!

Ledwo wszedł na wschody i drzwi mieszkania na strychu otworzył, tak zaraz do pani Warbickiej:

— Proszę pani, *chleb*, to chyba trza pisać: h, l, e, p?

A pani Warbicka w śmiech:

— Józik, tyś całkiem głowę stracił z tem pisaniem! Jużbyś i nie jadł, jużbyś i nie spał, tyłkobyś mazał kredą po tablicy.

— Oj, bo to strasznie przyjemnie: słowo pomyśleć a tu już i stoi napisane!

Wziął zaraz kredę i napisał na tablicy: „Bosa”. Pani Warbicka od razu przeczytała a pies myślał, że go wołają, więc się przeciągnął wstając z siennika i przyszedł z miną zaspaną i rozleniwioną.

(d. c. n.)

Niebo w kwietniu.

Zaczęła się wiosna, cieplej już na dworze i łatwiej, korzystając z pogodnego wieczoru, rozglądać się po gwiazdzistym niebie. A można będzie widzieć około godz. 10-tej wieczorem w połowie kwietnia kilkanaście ważniejszych gwiazdozbiorów: Herkulesa, Wielką Niedźwiedzicę, Bliźnięta, Kasiopeę, Pannę i wiele innych.

Gwiazdy stałe, jak wiecie, w skutek obrotu ziemi dla oka naszego pozornie wschodzą i zachodzą. Każda gwiazda przechodzi przez południk codzień o 4 minuty wcześniej i dla tego widok nieba gwiazdzistego zmienia się w ciągu roku.

Z planet gołym okiem widzialne będą w tym miesiącu: Merkury i Wenus, jako gwiazdy wieczorne w ciągu dwóch godzin mniej więcej po zachodzie słońca; Jowisz przez noc całą i Saturn, świecący niezbyt wysoko nad poziomem blaskiem bladej żółty.

Pełnia księżyca przypada dnia 6 kwietnia o trzy kwadransy na 11 wieczorem. Jest to pierwsza pełnia wiosenna. W pierwszą niedzielę przypadającą po tej pełni, obchodzimy święto Zmartwychwstania Pańskiego, zgodnie z postanowieniem Soboru powszechnego nicejskiego, odbytego w roku 325 za papieża Sylwestra.

Długość dnia wzrasta w kwietniu o dwie godziny, z początku wynosi zaledwie 12 godzin 56 minut, a ostatniego dnia miesiąca liczy już 14 godzin i 50 minut.

ZE ŚWIATA.

Wyprawa Andre'go. — Pogrzeb Aleksandra Macedońskiego. — Szczury w przemyśle. — Ludność miast. — Nowoodkryte plemię karłów. — Czarna bohaterka.

O podróżniku szwedzkim André, który w sierpniu roku zeszłego wyruszył ze Spitzberga balonem do bieguna północnego, niema dotychczas żadnych wiadomości. Jeden tylko gołąb z kartką jego, pisaną nazajutrz po wyruszeniu, został spotkany i ujęty przez załogę pewnego okrętu na morzu Lodowatym. Większość znawców krajów polarnych przypuszcza, że André i jego trzej towarzysze nigdy już nie powrócą, że zginęli wśród śniegów lub może zmarli w samym balonie. Niektórzy jednak przypuszczają, że André nie zginął, lecz spuścił się po jedno lub dwudniowej jeździe balonem na olbrzymie płaszczyzny lodowe, skąd próbuje dostać się na Ziemię Franciszka Józefa, aby latem doczekać się statków z Europy. Z ziemi tej wyruszy na wiosnę wyprawa celem odszukania śmiałego podróżnika, który, jak świadczą jego przyjaciele, przygotowany był do zimowania na lodach i przewidywał długą swą nieobecność. Morze Opatrzność uratuje go podobnie jak Nansena, dla dobra nauki.

Pogrzeb pewnej milionerki w San Francisco, który odbył się z nadzwyczajnym przepychem, dał jednej z gazet amerykańskich powód do przypomnienia najwspanialszych pogrzebów, jakie się kiedykolwiek odbyły. W rzędzie ich najpierwsze miejsce zajmuje pogrzeb Aleksandra Wielkiego macedońskiego, który w przepychu nie miał sobie równego. Trumna, w której ciało wielkiego króla Macedonii na wieczny spoczynek złożono, była szczerem - złota, z koroną brylantową, karawan przybrany wielu złotymi ozdobami, koła i szprychy złote; 84 mułów użyto do przewiezienia wozu tego z Babilonu do Syrii, gdzie oddany był Ptolomeuszowi i przez armię jego odstawiony do Aleksandryi. Zwłoki wielkiego bohatera i zwycięzcy złożone były w mauzoleum, które później zostało grobowcem rodziny Ptolomeuszów. Również we Francji pogrzeby niektórych głów ukoronowanych pochłonęły ogromne sumy, kosztą ponosił w części skarb w części miasto. Pogrzeb Franciszka I Valois kosztował okrągły milion franków. W Anglii pogrzeb Cromwella kosztował 60,000 f. str.

Dowcipni Amerykanie nawet szczury umieli zaprządz do pożytecznej pracy. W przedziałach bawełny zastanawiano się nad tem, w jaki sposób najprędzej i najtaniej możnaby oddzielać nasienie od włókna. Różne maszyny używane w tym celu okazały się nieodpowiednie; aż wreszcie ktoś wpadł na myśl, żeby to zadanie powierzyć szczurom, które są nadzwyczaj łakome na nasienie bawełniane i potrafią je wydobyć bez uszkodzenia włókna. Próby powiodły się znakomicie. Szczury zjadają nasiona, otrzymując więc pożywienie prawdzi-

wie zasłużone. Rzeźbiarze kości słoniowej również pozwalają bezkarnie plądrować szczurom wśród kłów, wybierając okazy na których znać ślady zębów szczurzych. Zwierzęta te wyjadają chciwie olej, zawarty w kości słoniowej i wskazują tym sposobem kły łatwiejsze do obrobienia.

Zeszłoroczny spis jednodniowy stwierdził znaczne powiększenie się ludności miejskiej. Podajemy niektóre liczby dla poprawienia zamieszczanych dotąd w podręcznikach geograficznych. Petersburg liczy 1,132,000 mieszkańców, a Moskwa prawie milion. Ludność Warszawy wynosi 638,200 mieszkańców, Łodzi 315,000, Kijowa 247,000, Wilna 160,000, Mińska 91,400, Witebska 66,000, Żytomierza 65,400, Białegostoku 63,900, Lublina 50,100. Wszystkich miast w guberniach królestwa Polskiego jest sto czternaście.

Gazety amerykańskie piszą o odkryciu nowego plemienia karłów w południowej Ameryce. Mieszka ono w okolicach rzeki Amazonki u źródeł Rio Negro, która jest dopływem Amazonki i odnogami swemi łączy się z okolicą Orinoco. Mężczyźni tego plemienia mają wysokości najwyższej cztery stopy i ośm cali, kobiety są mniejsze. Naród ten jest bardzo brzydki, przy silnie zbudowanym korpusie, nogi i ręce ma nadzwyczaj cienkie. Kolor ich skóry jest żółty, włosy zdradzają spokrewnienie z rasą indyjską. Już Aleksander Humboldt dowodził, iż w okolicach Orinoco znajduje się jakieś nieznane plemię, ponieważ jednak okolice tych nie mógł sam zwiedzić, dowodzenie więc jego w tej kwestyi zostało tylko przypuszczalnem. Teraz dopiero po upływie stu lat, nowy podróżnik, uczony Sullivan z Bostonu, stwierdza ponownie to samo.

W bliskości miasta Auburne w Stanach Zjednoczonych założono przytułek dla starców negrów, który nosi nazwę swej założycielki „Harriet Tuleman Home”. Harriet była niewolnicą, lecz mając lat 19, udało jej się uciec od swego właściciela i wśród różnych przygód dosięgnąć Stanów północnych, gdzie niewolnictwo było już zniesione. Tam, jako wolna, samoistnie pracować zaczęła i każdy dolar jaki zaoszczędzić mogła, odkładała. Kiedy zebrała trochę pokątniejszą sumkę, wybrała się w podróż na południe, aby pomagać swym braciom niewolnikom w ucieczce do Stanów północnych. Jeden z handlarzy niewolników obiecał 10,000 dolarów wynagrodzenia temu, kto by ją w jego ręce oddał. Harriet jednakże szczęśliwie zdołała uniknąć podobnego losu. Kiedy wybuchła wojna o wolność, była mianowaną przez gubernatora z Massachusetts Andrews, na przewodniczkę jednej z armii, którą też szczęśliwie do celu doprowadziła. Harriet obecnie staruszka 80-cio letnia, posiada bezgraniczne zaufanie i uwielbienie swych biednych, czarnych braci, dla wolności których tak się poświęciła. Założenie w Auburne przytułku jest uwiecznieniem jej czynów.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Na Zmartwychwstanie Pańskie, wiersz przez J. W. (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Tajemnicze kwiaty. — Kartka z dzienniczka księżniczki Elżuni, przypadkiem znaleziona. (z ryc.) — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — Niebo w kwietniu. — Ze świata. — **Dodatek:** Wielkanoc, wiersz przez Z. M. (z ryc.) — Wielkanoc i kaligrafia przez Z. B. — Prawdziwa historia przez J. W. — Królowa poziomek i paproci przez Wacława Sulimę. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

Wielkanoc.



zwony grają, serca drgają,
Słysząc pieśń radosną,
Wielkie święta się zbliżają
Razem z nową wiosną.

Płynie, płynie światłość
[Boża,
Pokój światu daje,
Idzie ku nam jasna zorza:
Chrystus zmartwych-
[wstaje!

Już się w paki stroją drzewa,
Ptak w obłokach buja,
Zda się wszystko z nami
[śpiewa
Słodkie Alleluja.

Hej! dzieciutki, niech was
[wiara
Umacnia i praca,
Z Bożej łaski ziemia szara
Przez nią się ozłaca.
Z. M.

WIELKANOC i KALIGRAFIA.

Kiedy Józio wyjeżdżał w jesieni do szkół, żegnali go wszyscy z żalem, bo grzeczny to był bardzo chłopczyk.

Najdłużej pieściła i błogosławiła wnuka babunia i Józiowi też najsmutniej było z nią się rozstawać.

Bo jakaż ta babunia dobra! Nikt takich ślicznych nie umiał opowiadać historii, nikt tak nie dogadzał chłopcu. Zbierała dla Józia nasiona kwiatów, żeby miał czym zasiać ogródek, robiła mu doskonałe piłki. U niej chował swoje baty, swoje sznurki, i wiele innych rzeczy, które wszyscy pogardliwie zwali rupieciami, niepotrzebnymi gratami, a tylko ona знаła się na ich wartości.

Więc kochał też z całego serca swoją babunię o białych, jak jedwab lśniących włosach, o oczach bardzo łagodnych i twarzy zawsze uśmiechniętej.

Kiedy siedziała w ganeczku wśród gałązek dzikiego wina, spuszczonego się z dachu, to zupełnie była podobną do białego gołąbka, których tyle fruwało nad domem.

Tak właśnie wyglądała w dzień wyjazdu Józia do szkół; spłoszone turkotem bryczki ptaki fruwały wysoko ponad dwór i białe skrzydła gołębi, migocące w słońcu, przypomniały chłopcu białe włoski babuni.

— A jeśli ona odleci tak do nieba—pomyślał nagle—odleci nim ja wrócę. Miałabym nigdy już nie zobaczyć kochanej babuni?

Józio pierwszy raz jechał do szkół, nie dziw więc, że zajęły go bardzo przygody doznane w podróży, a potem egzamin, koledzy, szkolne życie, zatarły mu w pamięci smutne pożegnanie z babunią.

Przytem czas biegnie prędko, prędko też nadeszło Boże Narodzenie, Józio śpiewał sobie z fantazją:

Pierwsza klasa same zuchy,
Druga klasa to piecuchy.

Ale niestety, do cenzury tego zucha wkradła się dwójka z kaligrafii i popsuła świadectwo, które bez niej wyglądało wcale dobrze.

Babunię dwójka zmartwiła tem więcej, że to ona właśnie uczyła wnuka stawiać litery i była pewną doskonałego stopnia.

— A może ja ci źle pokazywałam, dziecko, może teraz inaczej pisać każą — mówi zmartwiona, zapominając, że niczyje listy nie bywają tak porządnie i czysto pisane, jak jej własne.

Znów wyjeżdżał Józio do szkół i znów go babunia żegnała, teraz żegnała w pokoju, nie na ganku, bo mróz był silny.

— Na Wielkanoc nie przywiozę już dwójki, a potem zobaczy babunia, będą czwórki i piątki z kaligrafii — obiecywał chłopiec.

— Pamiętaj, pamiętaj dziecko, tylko spiesz się, uciesz mnie dobrym stopniem, potem może będzie już za późno.

Józio skoczył do sanek, dzwonki zadzwoniły wesoło, i znów spłoszone gołębie furknęły z dachu ponad drzewa, a chłopcu białe ich skrzydła przypomniały siwe włoski babci.

— Za późno? Co babunia myślała, mówiąc to brzydkie słowo? Miałoby jej tu nie być kiedy, na tym ganeczku, pod zielonemi gałęziami winogrodu, lub w oknie jak dziś, bo z okna zaz jeszcze żegnała wnuka. A jeśli odleci do nieba zanim ja wrócę z dobrym stopniem w cenzurze?

Józiowi serce ścisnęło się żalem. Babunia taka blada i tak kaszle często. Teraz znał już dobrze drogę, znał kolegów, wiedział co to szkoła, więc nowe wrażenia nie zatarły smutnych wspomnień odjazdu. Ile razy też siadał do pisania, zawsze brzmiały mu w uszach słowa:

— Uciesz mnie dobrym stopniem, bo potem może być już za późno.

O jakże Józio starannie kreślił litery! Aż nauczyciel się dziwił, że tak wielki zrobił postęp. Kazał po raz oglądać

kajet pilnego chłopca i stawiał czerwonym ołówkiem stopień.

Pierwszy był 3, a potem przyszły plusy, a potem trafiła się 4, potem znów była raz bieda z jakimś minusem, aż na koniec kwartału Józio dostał 5 z kaligrafii. Wierciecie mi, 5 dostał, chociaż trud nielada z dwójki na 5 wyjechać.

Ale czegoż nie dokona pilny pierwszoklasista!

Za to byłaz to radość, gdy na Wielkanoc jechał do domu!

Już z daleka, siedząc na wózku pokazywał cenzurę, która powiewała, jak biała chorągiew.

Babunia domyśliła się też odrazu, że stopień z kaligrafii będzie doskonały.

Ile za tę piątkę dostało się Józiowi wyborynych mazurków, ile jaj kolorowych ufarbowały drogie ręce babci, jak mu pomagała oblać wodą siostrzyczki przy szmigusie, ho! ho! tego opowiedzieć wam nie potrafię. Chłopiec też całe święta był wesół i szczęśliwy, bo to wielka radość ucieszyć ukochanych.

Z. B.

Jadwiga Warnkówna

PRAWDZIWA HISTORIA.

I.

Czy lubicie, dzieci, młode rzodkiewki? Oj, te rzodkiewki! Narobiły one razu jednego kłopotu niemało! Posłuchajcie, opowiem wiernie całe zdarzenie.

Było to w Wielką Sobotę.

Wiosna aż pachniała na świecie! Wierzby okryły się puchem baziek, młoda trawka strzelała w górę, a pośród niej tuliły się fiołki, podnosząc główki ku słońcu, które siało naokół rześiste, jasne i ciepłe promienie. Wróble gromadami obsiadły nagie jeszcze kasztany i świegotały bezustanku tak krzykliwie, że aż jaskółki, budujące opodal gniazdo, dziwiły się tej wrzawie. Czerwone kowale zaczęły wychodzić z pod kamieni, aby się wygrzać na słońcu, a nawet mała muszka zabrzęczała w powietrzu, lecąc na koniec dworu, ku otwartemu oknu, z którego buchały różne wonne zapachy.

Z okna tego wychyliła się pani Wardęska i zawołała:

— Moja Michałowo! proszę tutaj przyjść do mnie aby pozanosić ciasto do stołowego pokoju. Trzeba stół nakrywać, bo ksiądz zaraz nadjedzie. Niech dzieci pobawią się same.

— Słyszycie, dzieci, mamusia mię woła. Bawcie się tu grzecznie, nie odchodźcie ani na krok! Zosia niech dalej kopie, a Jadwisia niech dalej grabi.

— Już babki upieczone! To i my pójdziemy z nianią, pomożemy nosić ciasto — zawołała Zosia.

— Nie, dzieci, proszę zostać w ogrodzie i bawić się dalej — powiedziała pani Wardęska, wychyliwszy się raz jeszcze z okna. — Bądźcie grzeczne, a spotka was wielka niespodzianka.

— Niania, niespodzianka! Jaka niespodzian-

ka? Pewnie jajeczka malowane, albo też szyneczka z cukru. Pójdę zobaczyć!

— Nie pójdiesz, skoro mama nie pozwala — odrzekła wolno starsza dziewczynka, Jadwisia. — Weź szpadelkę i kop dalej prędko, bo już nie mam co grabić.

To mówiąc podała Zosi porzucony przez nią szpadelkę.

— Zresztą będę kopała, tylko grab porządnie. I dziewczynki wróciły do zabawy.

Jadwisia miała lat sześć, a Zosia pięć. Jadwisia była czerstwa, silna, na swój wiek wysoka, o buzi okrągłej i rumianej. Usłuchane to było dziecko, pracowite i ciche. Umiała już nieźle robić pończochę (na gwiazdkę z pomocą Michałowej zrobiła dwie pary dla biednych dzieci) umiała też potrosze szyć dla swych lalek, które serdecznie kochała; lubiła się z niemi bawić gdzie w kącie i śpiewać przytem, choćby dzień cały.

Zosia w niczem nie była podobna do starszej siostrzyczki. Błada była i wątła, lecz na mizernej twarzyczce świeciło dwoje czarnych, bystrych oczu, zawsze śmiejących i wesołych, a świadczących, że w głowie coraz to nowe rodzą się figle... Wygadane było małeństwo, jak młoda sroczka, buzia zamykała jej się chyba tylko w nocy, a i przez sen nieraz krzyczała i śmiała się głośno. Na miejscu usiedzieć nie umiała i kwadransa; musiała wszystko wiedzieć, do wszystkiego się wtrącić, wszystko ruszyć, dla tego ją „wszystkowiedzem,” „wszystkoruszem” lub „wiatraczkiem” nazywano. Złem jednak dzieckiem nie była, serduszek miała wyborne; każdym otrzymanym przysmaczkiem biegła dzielić się w kuchni z małą sierotką Magdą, której matka tej zimy umarła.

Po kilku minutach milczenia, Zosia rzekła do siostry:

— Wies? Kaśka dziś przyniosła z kurnika indycze jajeczka, takie duże z złotymi plamami.

Jadwisia grabiąc, zaczęła śpiewać miluchnym głosem:

„W małym ogródeczku Zosia sadi kwiatki,
Czerwone różyczki i modre bławatki”.

Lecz Zosia przerwała jej znowu:

— Wies, po księdza pojechał Wawrek; pewnie niedługo psyjedzie. Ciekawam bardzo, jak ksiądz będzie święcił. Michałowa mówi, że wszystko święconą wodą pokropi.

— Kiedy też ty się nauczysz porządnie mówić, dziewczyna w szóstym roku a mówi: psyjedzie, jajeczka, jak mały Stefanek z Gębic.

— Wszystko jedno, wszystko jedno. Jesce się nauczę. Ale już mi się spsyksyło kopanie, mozebyśmy się trochę pogonili!

— Kop dalej, kop! Niania powiedziała, że jeżeli skopiemy cały zagonek, to nam jeszcze dzisiaj zasieje rzodkiewki.

— Nasieje zodikiewek! naprawdę? A wiesz, w inspektach już pewno są zodikiewki. Słysałam, jak Kotulski mówił do mamusi, że do święconego będzie miał i sałatę i zodikiewki. Chodźmy zobaczyć do inspektów.

— Ale kiedy mamusia kazała nam tu zostać, a niania mówiła, żeby i na krok nie odchodzić.

(d. n.)



KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCÍ.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg).

— Leż sobie Halinko, leż — rzekła — ty się najwięcej zmęczyłaś, boś najdalej chodziła i najcięższy dzban niosłaś, tobie odpoczynek najpotrzebniejszy, przykryj sobie tylko głowę fartuszkim, żeby ci błyskawice w oczy nie zaglądały.

Halinka zdziwiona względnością Elżbietki posłuchała dobrej rady, a że miała czyste sumienie i zmęczoną była bardzo, usnęła wkrótce głęboko, mimo huku grzmotów.

II.

Kotlinka paproci.

Deszcz przestał padać, ucichły grzmoty, uspokoił się wicher. Niebo zaczęło się zwolna wyjaśniać, na wschodzie zarysowały się różowe smugi, zachodu słońca.

Blade światło dzienne przedzierając się przez chruszczane ściany szalasu, zbudziło Halinkę.

— Ach, to już świta — zawołała, przecierając oczy — grzmotów nie słyhać; Jagusiu, Elżbietko, możemy wracać do domu.

Obejrzała się dokoła, ani Jagusi ani Elżbietki nie było, znajdowała się sama w szalasie.

— A niedobre, wróciły bezemnie — szepnęła z żalem — ciotka się będzie gniewała; ha cóż, powiem żem zapłała.

Wstała, ujęła dzban i odrazu spostrzegła, że jest jakiś dziwnie lekki. Wstrząsnęła nim, przykrycie z paproci widocznie odwiązane, spadło, dzban był pusty.

Halinka krzyknęła głośno i stanęła zdumiona.

— Wykradły mi poziomki! — wykrzyknęła oburzona — i dla tego radziły mi zasnąć, niegodziwe, przecież to kradzież.

Tak, dzban był pusty, a razem z poziomkami znikła nadzieja kupienia podarków dla wuja i ciotki.

Halinka zasmucona wyszła z szalasu. Drzewa i trawy wyglądały jak usypane perłami, powietrze było świeże i miłe, ptaszki zaczynały się odzywać.

— Tak — myślała Halinka — pozazdrościły mi, bo

ja miałam pełen dzban; a one mówiły, że poziomki w lesie prawie niema.

Wtem przypomniała sobie kotlinkę, do której zaprowadziła ją sarenka.

— Ach! — wykrzyknęła — gdybym tylko mogła tam trafić, napełniłabym w mig dwa takie dzbanki, wieleż tam było poziomki, aż się ziemia czerwieniła.

Ucieszona tem przypomnieniem, biedz zaczęła w kierunku kotlinki, jakoż wkrótce doszła do miejsca, gdzie spotkała sarenkę. Idąc ciągle naprzód odnalazła ślad, doszła do brzegów wzgórza i spuszczać się na dół zaczęła. Z każdej gałęzi, którą potraçała, spadał na nią drobny deszczyk, paproć szeleściła pod jej stopą, a na duszy robiło się coraz raźniej i weselej.

Teraz przy świetle dziennem, poziomki wydały jej się jeszcze większe niż wczoraj, liście zakrywały je nieco, lodygi ginęły wśród traw.

Halinka wyciągnęła rękę i już zerwać miała najbliższą, kiedy usłyszała cichy śmiech; poziomka odskoczyła i Halinka spostrzegła, że to nie był owoc ale maleńka główka, ubrana w duży ponsowy kapturek, z szyjką okoloną liśćmi, niby frezką. Jednocześnie cała osóбка wynurzyła się z trawy a niebawem, ruszyły się i inne; w całej kotlinie rozległ się szelest traw i szmer liści, a po chwili wszystkie poziomki — dziewczynki ujęły się za ręce i tworząc wielkie koło, rozpoczęły taniec.

Halinka, osłupiała, patrzyła na ich płąsy i skoki.

Wtem usłyszała trzask gałęzi; z pomiędzy wzgórz wysunęła się sarenka, ta sama, którą wczoraj spotkała; na grzbiecie jej siedziała dziewczynka, mniejsza od Halinki ale smuklejsza. Ubrana była w czerwony aksamitny gorsecik i spódnice z paproci. Bufki na ramionach, freza koło szyi i ubranie głowy również było z paproci, a cały jej strój przyozdobiony był poziomkami i ubrylantowany rosą. Sarenka zatrzymała się, maleńka pani zaś skoczyła na ziemię, a wesoły chór poziomki zabrzmiał:

Naszą kotlinkę słońce ozłaca,
Uperla co wieczór rosa,
Ochładza wietrzyk, paproć wzbogaca,
Obłąkitnieją niebiosą.

Zaledwie zorza świta różowa
Oto na swojej sarence,
Piękna i dobra nasza królowa
W leśnej przybywa sukience.

(d. c. n.)

SZARADA.

Nierówną bywa nam *pierwsza i trzecia*
To mrozem ścina, to znów daje kwiecie.
Znów *druga z trzecią*, zewnętrzne pokrycie
Bez czego drzewa wnet tracą swe życie,
Zaś *wszystko* razem to cnota prawdziwa
Co się przed zasług rozgłosem ukrywa.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

ułożył Aleksander W.

27	19	25	14	Podane tu liczby przestawić w ten
16	20	23	10	sposób, aby przez dodawanie tak
11	6	9	5	w kierunku poziomym jak pionowym
3	4	8	0	wypadła zawsze liczba jednakowa.

KRZYŻ MAGICZNY.

a d
d e
a e e i i m
m n n r t t
w w
y y

Z podanych obok liter ułożyć krzyżujące się nazwy dwóch stolic w Europie.

ROZWIĄZANIA DO Nr. 13.

Zagadki: Łódź.

Łamigłówek sylabowej:

- 1) Jedwabnik. 2) Ameryka. 3) Ner. 4) Sara. 5) Oświęcim.
6) Baku. 7) Iris. 8) Eufrat. 9) Sowa. 10) Kalif. 11. Istria.

Jan Sobieski — Kara Mustafa.

Łamigłówki w kwadracie:

J a ś m i n
K u r h a n
M i l i o n
B i l i o n
S u ł t a n
J o r d a n

Skrzynka do listów.

Łamigłóvkę **Mieczysława U.** przejrzymy. Rozwiązania łamigłówek dobre; trafne również rozwiązania nadesłali: **Słoń z Nubii**, **Józio B.**, **Marylka Sandomierzanka**, **Orzeł czubaty**, **Eugenia M.** i **Aniela R.**, którą po długim jej milczeniu z przyjemnością znów witamy.

Chcąc zaspokoić ciekawość **Sfatej** czytelniczki musiałabym odstąpić od przyjętego zwyczaju i zaudto wiele pisać o sobie, pozwól więc bym i nadal została tylko skrzydlatą ptaszyną, której pragnieniem pozyskać waszą przyjaźń i otrzymywać jak najwięcej, równie jak twój, miłych listków. Zagadki zręczne, ale zaudto

znane i łatwe do odgadnięcia, spróbuj napisać inne, może się przydadzą.

Masz obszerny kącik w mem sercu, miła **Laszko**, który sobie zdobyłaś serdecznymi odezwaniami, każdy twój listek sprawia mi wielką przyjemność, a następnego niecierpliwie wyglądam. Nie dziwię się bynajmniej, że **Ogniem i Mieczem**, do arcydzieł naszej literatury zaliczone, wywarło na tobie potężne wrażenie, a przystępnie opowiedziane wyjątki i młodsze rodzeństwo zajęły i zachwyciły. Z równem, jak ty upragnieniem, oczekuję wiosny i niecierpliwie wyglądam mych towarzyszek, by nam raz nareszcie zwiastowały ciepło i pogodę. Rozwiązania dobre, arytmogryf oddałam redakcyi.

Kochana moja **Kurko z Polesia**, chociaż ani ciebie ani innych moich korespondentek nie znam osobiście, zdaje mi się, że wszystkie jesteście mi dobrze znane, bo znam serduszką wasze pocziwe i zane nieraz myśli, które się wam roją po główkach. Czy jesteście najstarszą z naszych czytelniczek, nie wiem, sądzę jednakże, że są starsze od ciebie i te przezwaly się „staruszkami”, choć już dorosły nie przestają czytać **Wieczorów**, z którymi zaprzyjaźniły się od dzieciństwa. Nietylko czasami, jak o to zapytujesz, ale tak często, jak ci czas na to pozwala, proszę, pisuj do mnie, a zawsze z przyjemnością prawdziwą na twoje listy odpisywać będę. Pseudonym twój dobrze wybrany i bardzo mi się podobał. Rysunki ciekawych miejscowości z kraju naszego, lub też z dalszych miejscowości wraz z opisami, podajemy od czasu do czasu. Rozwiązania dobre, łamigłóvkę oddałam redakcyi.

Z **Orłem czubatym** chętnie korespondować będę, oczekuję obszerniejszego listku. Przysłań łamigłóvkę przejrzymy, a zaginiony numer posyłamy.

Posyłka dla sierot Szpitala Dzieciątka Jezus od **Brzózki wotyńskiej** już przysłała i pod wskazanym adresem odesłana została. Jak dawniej tak i teraz proszę, zwracaj się zawsze do mnie i pamiętaj, że z przyjemnością każde twoje polecenie wypełnię.

Sprawiłaś mi wielką przyjemność **Helenko Sz.** swoim miłym listkiem, a wiedząc, że lubisz obszerniejsze odpowiedzi, obdarzałam cię niemi chętnie, gdyby brak miejsca nie stawał na przeszkodzie. Spora paczka listów leży przedemną, a każdy listek miły, każdy serdeczny i usposabiający do dłuższej pogawędki, cóż, kiedy redakcyja woła: „Jaskółko, pisz krótko i zwięźle, bo tylko tyle a tyle masz dzisiaj miejsca na twoją korespondencję, żegnam cię więc, spieszyć muszę i choć słówkiem podziękować twej siostrzyczce **Rózi** za dopisek, i pochwalić, że pisze już tak porządnie i starannie, niechaj przysła próbę swego pisma na konkurs kaligrafii, a kto wie czy nie otrzyma nagrody.

Wesofej. Długo myślałam, jak się sama do tego przyznajesz, ale ładny obrałaś sobie pseudonym, tembardziej, że się stosuje do twego usposobienia, a usposobienie to miłym być musi, bo wesoleść z młodością powinny zawsze iść w parze. Surowo się sądzisz pisząc, że w twym liście za grosz niema sensu, zdania tego nie podzielam i proszę cię o częste, a również przyjemne listki.

Gdyby imienniczki moje chciały pożyczyć mi swych skrzydełek, przebytałabym szybko odległość dzielącą mię od **Wandzi i Zosi S.** z Rostowa nak **Donem** i czarnym dziobkiem wystukałabym im w okienko wiadomości z nad Wisły. Niestety „ni ja skowroneczek, ni jaskółka szybka” i zamiast bujać w powietrzu, siedzieć muszę przy stoliku i w kilku słowach odpisywać na miłą waszą odezwę. Mam nadzieję, że nie poprzestając na tej jednej, często równie pocziwami obdarzać mnie będziesz. Rozwiązania łamigłówek dobre, a chociaż później przychodzą, nic nie przeszkadza, że później ogłoszone będą.

Słoń z Nubii przepraszam, jeżeli niesłusznie zrebilałam mu wymówkę, ale w takim razie poczta tu zawiniła.

A teraz na zakończenie, przyjmijcie drodzy czytelnicy, przy nadchodzących radosnych świętach **Zmartwychwstania Pańskiego**, serdeczne życzenia wesolego Alleluja, od szczerze wam przyjaźnej

Jaskółki.